

Macierz Polska.

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 33.

CHICAGO, 15-go SIERPNIA (AUGUST 15-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



WNIEBOWZIĘTA.

Wniebowzięcie Najśw. Maryi Panny.

— Czemu, matusiu, dziś do kościoła
Niesie lud kwiaty, kłosa i zioła?
— Nie wiesz, dziecino? Tóż Wniebowzięcie;
Proboszcz pouczał was o tem świecie,
Ale przed rokiem byłeś za małą,
Więc ci w głowinie nic nie zostało.
Wiesz, że Pan Jezus, ukrzyżowany
Zmartwychwstał, chodził przez drogi, łąny,
Wstąpił do nieba, gdzie po prawicy...
A pozostałej Maryi, Dziewicy,
Wśród Apostołów schodziło życie
W cichym domeczku, a w skromnym bycie...
Gdy Bóg powołał Ją do swej chwały,
Przyjazne dłonie Ją pochowały
W grobowcu skalnym... Ale, o cudzie!
Kiedy w dni kilka zajrzeli ludzie,
Zwłok tam nie było, lecz kwiecie stosa,
Z cudnym zapachem... Panią w niebiosy
Wzięli — na rozkaz Boży — Anieli...
I tam króluje w przeczystej bieli
I ludzkich modłów z wyżyny słucha:
Wstawia się za nas do Syna, Ducha...
Na tę pamiątkę niesiem dziś kwiecie
I kłosa żyta (jako to w lecie);
Jedno się daje, a drugie się święci,
Błaga o łaski, piecze pamięci,
Błogosławieństwo dla pól i chaty,
O dar cnót Bożych wielki, bogaty...
— Matusiu moja, mądre twe słowa,
Ich nie zapomnę, niech Bóg uchowa!
Kwiatuszków ładnych wianuszek zwije,
Poproszę o to Panne Maryę;
Niech głodnym wszystkim ześle tu chleba,
Bo nam go wszystkim siła potrzeba...

.....
Módl się, dziecino, moc sprawi Boża:
Nędza z ziemskiego zniknie przestworza,
Chleb swój brat chętnie z bratem połamie.
Serce do serca! Z ramieniem ramie!...

K. Hoffman.

NAJLEPSZY FIGIELEK.

Stasio był bardzo swawolny; największą dla niego radością było, gdy mu się udało komuś, choćby małego figla wypłatać; mamie wyciągał z kieszeni i chował klucze od spiżarni, siostrzyczce wywlekał druty, lub szwydełko z roboty, służącej wylał raz wodę z karafki, przygotowanej do obiadu — słowem od rana do wieczora myślał tylko o tem, co by spłatać. Służący narzekli na niego, mama się gniewała, a Stasio przepraszał, uniewinniając się, że on tak robi tylko na figle! Po kilka razy na dzień powtarzała się ta sama historia.

Pewnego razu przyjechał wujcio i przywiózł wszystkim dzieciom śliczne kubki kryształowe, znaczzone ich literkami. Stasio i najmłodsza siostrzyczka, Salka, mieli zupełnie jednakowe kubki, bo imiona ich zarówno zaczynały się od S. Ale Salka biegnąc do tatusia, żeby się przed nim pochwalić otrzymanym podarkiem, uderzyła kubkiem o drzwi i rozbiła go na drobne kawałki. Płacz powstał ogromny, ale nie było już rady; Salka pochowała skrupki do swojej szufladki, a wujcio obiecał, że gdy na przyszły rok znowu przyjedzie, przywiezie jej drugi podobny kubek.

Tymczasem otwierając szufladkę nazajutrz rano, zdziwiona dziewczynka zobaczyła swój kubek całuteńki, bez żadnej nawet rysy, tak jakby nigdy nie był rozbity.

Oczom swoim wierzyć nie chciała. Uradowana, biegała po całym domu, opowiadając wszystkim szczególną historię kubka. Inne dzieci, niemiennie od niej zdziwione, powtarzały w kółko: — Co się stało?

— Zapewne ktoś skleił tak zręcznie, że nie znać nawet pęknięcia — rzekł z uśmiechem wujcio, a popatrzwszy w tej chwili na Stasia mrugnął na niego tajemniczo.

Gdy inne dzieci wyszły z pokoju, Stasio zbliżył się do wujcia i szepnął:

— A co, czy dobry figielek?

— Doskonały — pochwalił wujcio — gdyby wszystkie były takie, to niktby się nigdy na ciebie nie skarżył.

— Kiedy, proszę wujcia, nie zawsze coś takiego dobrego przychodzi na myśl.

— To też nie trzeba płać wszystkich figielków, które zaświtają w główce, ale wybierać same najlepsze. Powiedz sobie, że z tych figielków, które ci na myśl przyjdą, tylko niektóre będą wykonane, a ja ręczę, że te wybrane figielki będą wszystkie mądre i przyjemne.

— Dobrze, proszę wujcia; ale niech wujcio nie powie nikomu, że to ja swój kubek dałem Salki.

— Nie, nie; nie zdradzę twej tajemnicy. Ho, ho, nie bój się! wujcio dobry do figłów.

Stasio usłuchał rady wujcia i od tej pory zastanawiał się nad każdym figielkiem, czy będzie dobry i wszystkim przyjemny; a gdy po namyśle widział, że nie wszyscy mogli być radzi z jego konceptu, potrzasał główką i mówił sobie: — Nie, tego nie spłatom; to jeszcze nie ten figielek, co ma być taki doskonały:

— o —

Moralna prawda pochodzi od samego Boga; sumienie powszechne jest jej przybytkiem; a indywidualny rozsądek czerpie w niej swe najczystsze światło i swe ubezpieczenie.

Obrazki z przeszłości.

Dokończenie.

Włócznia była najgłówniejszym orężem. Strzała rzadko trafiała w obnażone od zbroi, całkiem ciało okrywającej, miejsce, miecz krzusił się o grube blachy. Topory ciężkie i straszliwe, cepy żelazne, na łańcuchach umocowane, tłukły o szyszaki i napierśniki. Krzyżaków padało więcej zgniecionych ciężarem własnej zbroi, Polacy, lżej zbrojni, rany otrzymywali głębsze, więcej krwi przelewali.

Napad wojewody z tej strony, która być miała przez niego bronioną, zawyrokował o losach dnia tego. Lecz nie łatwo poddali się Krzyżacy: — walczyli, drogo sprzedając życie. Taką wydawał się walka, widziana z obozu niemieckiego.

Inną wcale była z polskiej strony. Zakon poświęcał może najlepszego żołnierza najemnego. Łokietek rzucał na szalę życie i królestwo swoje. Lecz Łokiet osiadał w bojach i trudach rycerskich, posiadał umysł nieugięty, wielką wiarę w przeznaczenie i opiekę Bożą. Czuł się zesłanym dla ocalenia krainy i ziemi. Przededniem jeszcze wystąpił z lasów, wiedząc o położeniu nieprzyjaciela, o siłach jego, o oddaleniu się komtura chełmińskiego. Wojsko szło w ciszy, osłonięte mgłami, aż na kilkoro staj od obozu nieprzyjaciela. Tu Łokietek wystąpił sam, zwołując przed siebie wojewodów i chorążych, którzy też go kołem otoczyli. Był blady i wzruszony. Wczoraj, obawiając się o los jedynaka, zmusił go do oddalenia się z Trepką, zakazał mu uczestniczyć w tym boju śmiertelnym. Rzekł do swoich:

— Ostatni to może raz Bóg mi pozwolił poprowadzić was do bitwy, niechże sromu nie poniosę! Nieprzyjaciel mocen, ale obciążony łupami i taborem nie spodziewa się nas. Zwyciężym go!

Urwał, spojrzął na wojewodów, wołał do nich po imieniu; przywoływał też chorążych, zapewniając ich o wdzięczność swojej.

Ostatni raz idę z wami — powtórzył — ufajmy Bogu, a zwycięstwo przy nas!

Wszyscy garnęli się do niego, przyrzekając walczyć do upadłego.

Tego dnia przywdział król starą swoją, doświadczoną, w wielu miejscach pogiętą i porąbaną zbroję, hełm zawarty, bez żadnych oznak, gdyż i tak wzrost go czynił do poznania łatwym.

Wojewoda krakowski zaczął wraz z innymi prosić go, aby na uboczu stał, do boju się nie mieszając, a im pozwolił zetrzeć się z nieprzyjacielem, lecz żadna siła starca powstrzymać nie mogła. Rwał się w pierwsze szeregi z niecierpliwością młodzieńczą. Dodano mu do boku kłku, aby go przynajmniej osłaniali. On zaś ich uspokajał:

— Nie lękajcie się o mnie. Jeśli da Bóg zwycięstwo — ostanę cały; jeśli zaś nas klęska spotka, nie chcę żywym zejść z tego pola.

To rzekłszy, wraz z innymi rzucił się na obóz krzyżacki. Łańcuchy, które go opasywały, już przy pierwszym naporze zerwane zostały. Hufce polskie wtargnęły do boju; tu się mieszały Krzyżacy z Polakami, gdy zaś szeregi prysnęły, bój pojedynczy aż pod namioty, w środek obozu się rozszerzył. Mgła długo nie pozwalała dojrzeć nic, oprócz nieustających walk konnych, pieszych, wreszcie oprócz leżących już na ziemi, pasujących się i dławiących przeciwników.

Okolo południa, gdy bój wrzał ciągle, słońce wreszcie się przedarło przez szare opony mgły i obraz straszliwy odsłoniło oczom walczących.

Pobojowisko trupami było i rannymi zaślane, a wśród niego ucierali się wciąż Krzyżacy, wiedząc, że ocalić się nie mogą, a poddać się nie chcieli. Marszałek zagrzewał resztki, zbierał rozpierchanych, obiecując przybycie komtura Chełmskiego z odsieczą.

Obok niego, otoczony wyborem rycerstwa, stał z chorągwią zakonu Iwon, wspaniałej postaci i okazanych już w wielu bitwach dowodów waleczności, jemu też powierzono to знамя. Wojewoda Wincz z Dobkiem rzucili się na tę gromadkę i osaczywszy ją dokoła, nacisnęli tak, że rażony toporem przez Dobka olbrzym padł, chorągiew na ziemię wlokąc z sobą.

Marszałek, dostrzegłszy to z dala, oczy sobie zasłonił. Potem opuścił ręce, stał, nie myśląc już o walce, to też nowy oddział, który na niego natarł, zabrał go w niewolę.

Nad wieczorem walka była prawie skończona, lecz król rycerstwu nie pozwalał odłożyć broni, ani spocząć na pobojowisku. Mniemał, że po przybyciu wezwanych przez marszałka posiłków, bitwa znów się rozpocznie. Jeńców skrupowano sznurami i zawleczono do namiotów, otoczonych strażą. Wojsko nie otarło mieczów, nie pozwoliło koniom wytchnąć.

Posiłki w samej rzeczy, dowodzone przez Plaueną pędziły z pod Brześcia, ale gdy je ujrzało nadciągające, już jeńcy byli pod strażą, a król gotów do nowego boju.

A był to bój w szczerem polu, ze świeżym żołnierzem, zagrzany zemstą, gdy wojsko królewskie było całodzienną znużone walką. W tem drugim spotkaniu, Floryan Szary, już ranny, lecz podniecony tem, że mu dzień ten płacił na każdym kroku szczęściem wielkiem, bo już trzech znakomitych rycerzy niemieckich zwał z koni i w niewolę oddał, rzucił się ze swymi wprost na komtura wielkiego Plaueną. Najdzielniejsi bracia krzyżacy bronili ostatniego swego wodza, Szary jednak z taką gwałtownością natarł, wiodąc za sobą sieradzan, że trzy

włócznie razem, strąciwszy zbroję lekką i już w boju uszkodzoną, utkwili w nim.

Padł, nie wydawszy jęku, rozdarty straszliwie, w chwili, gdy towarzysze jego rzucili się na Plaue- na i wzięli go w niewolę. Szary całą tę wojnę odbywał na wiernym koniu siwym, który oddawna mu służył. Byli towarzyszami nierozłącznymi i przyjaciółmi. Koń znał głos pana, chód, czuł go z daleka. Gdy Floryan, krwią obłany, padł, oburącz chwytając rozdarte ciało, z którego wychodziły jelita — koń stanął nad nim, kopytami zarył się w ziemię i nakrył go sobą. Uchronił go od stratowania i zgniecenia, których ofiarą padło drugie tyle ludzi, co od miecza i topora.

Szary wychowany był i zahartowany, jak na rycerza przystało. Każdej chwili gotów umierać, każdej godziny cierpieć — teraz jeszcze czując życie w sobie, wspomniawszy dom, żonę i dzieci, oburącz nacisnął wnętrzości i pozostał pod koniem wśród dokoła wrzącego boju, czekając, co zrządzi Opatrzność. Spełnił przecież swój ludzki i rycerski obowiązek do końca, więc spodziewał się pomocy Boga i do niego się też modlił. Jeśli miał być ocalony z wyroków Jego, trzeba było mężnie doczekać chwili, w której mógł nadejść ratunek; jeżeli miał umrzeć, powinien był z męstwem doczekać zgonu.

Koń wciąż stał nad nim; innym, wyrrywającym się i cwałującym po pobojuwisku, a nacierającym na niego, broniąc się i osłaniając pana. Floryan nie widział już co się do koła niego działo, słyszał tylko zwycięskie okrzyki swoich. Krew z ran upływała obficie. ręce w niej obie zbrozzone, czuł jak ukropem oblane; nie mógł ich odjąć na chwilę od rany bo poszarpane ciało razem z krwią wyrzuciłoby i wnętrzości.

Pot występował mu na czoło, modlił się spokojnie; rachował, rychło ratunek jaki zjawić się może i zali mu na tak długo sił stanie. Omdlenie chwilami jakby obłokiem przesłaniało mu oczy, lecz przemógł się siłą woli, tych męczenników, których życie potęgowała wiara. Przed oczyma widział dom swój, rodzinę, ojca starego i onego złego sąsiada, którego pastwą pewnie staliby się jego najdrożsi, gdyby on już do nich powrócić nie mógł.

Nie stracił jeszcze nadziei. Krew wprawdzie upływała, ale silne dłonie utrzymały rozdarte rany w spojeniu.

Bój jakby się oddalał od niego. Zbliżał się. . . znowu. znów odbiegł i cisza nastąpiła dla niego prawie od walki straszniejsza.

Koń, ze łbem spuszczonego, wachając wyciągnięte jego nogi, to stał spokojnie, to rżeniem niecierpliwem wołać się zdawał o pomoc ludzi. O ile mógł dojrzeć Szary, żywego dokoła niego nie było nikogo. Na pół w ziemię wbity, leżał przy nim Krzyżak, własną zbroją zgnieciony, z głową obna-

żoną, z której hełm spadł, ze znakiem podkowy końskiej na czaszce i czole zmiażdżonem. Dalej nieco koń dogorywający napróżno usiłował zerwać się na nogi — przednimi kopytami rył ziemię, do pół się zrywał i opadał. Dalej widać było pogruchotane włócznie, z ostreimi drzazgami sterczącymi do góry, połamany oręż, kupy błota, w których ciał startych na miazgę rozpoznać nie było można. Mrok wieczora powoli zstępował na pobojuwisko, do którego zdala, z miejsca, gdzie obóz był krzyżacki, dochodził gwar i okrzyki zwycięskie.

Szary czuł, że król Łokietek zgniótł Krzyżaków że tam bracia jego radowali się ocaloną czią rycerską.

Nagle wśród okrzyków i śmiechu cisza się wielka stała, a po chwili głos jakiś począł pieśń nabożną: „Ciebie, Boże, chwalimy...” zaraz też olbrzymi chór wtórować zaczął tej pieśni dziękczynnej.

Szary miał łzy w oczach. Myślał:

— Gdyby zginąć przyszło, krew nie darmo przełałem. Stań się woła twoja, Panie!

Ręce mu drętwiały, siły się wyczerpywały, a tu noc nadchodziła. Miałby nikt nie zajrzeć na pobojuwisko?

Wiedział Szary o tym zwyczaju wojskowym, iż ciury obozowe trupom długo nie obdartym leżeć nie dozwalały; często w nocy z pochodniami śpieszyli pochwyć, co im wojna zostawiała po sobie.

Pieśń dziękczynna przebrzmiała, po niej wrzała nastąpiła, to przestanki ciszy, to znów krzyki, nawoływania. Lecz słuch jego powoli już tępiał. Oczy coraz mniej widziały, czuł, że koń, stojący nad nim, słania się i drży... Rżał pocziwy rumak coraz słabiej, coraz rzadziej, ruszył się w końcu ostrożnie, zszedł o krok, głowę spuścił, nozdrzami dotykając jego twarzy. Zdawał się patrzeć i badać, czy pan jego żyje jeszcze.

Floryan słabym głosem zawołał go, jak zwykle. Siwy drgnął, ale i jego opuściły siły — powili legł przy panu. Nadzieja zaczęła opuszczać Szarego, czuł, że nie wydoła długo, że dłonie zmartwiałe ran nie utrzymają... Potem zimnym oblewało się jego czoło.

Naraz koń zerwał się na nogi, wyciągnął szyję i rozpaczliwie zerzał... Floryanowi zdało się, że usłyszał głosy ludzkie, że mignęły światła, że ziemia zatętniała... Zwolna otworzył ociężałe powieki.

Sen-li to? Żłuda? Marzenie przedśmiertne?... Ale nie! nie, nad nim stał z twarzą jasną, otoczoną blaskiem, jakby nadziemskim, król w swojej zbroi poszczerbionej i płaszczu ciemnym patrząc na niego, obok w sukni duchownej podeszłych lat mężczyzna, dalej ludzi gromadka. I mówił król:

— Mój Boże! co on za straszne męki ponosi...

Głos ten przywrócił życie Szaremu, zebrał się

na sił ostatek i z uśmiechem męczeńskim odparł głosem słabym:

— Miłościwy panie, królu mój... sroższa daleko męka znosić pod bokiem złego sąsiada, jakiego ja miałem i mam...

Król postąpił bliżej, a zaufany jego Hebda rzekł:

— Jezu Miłosierny! To Floryan z Surdęgi, jeden z najwaleczniejszych rycerzy twoich, miłościwy panie!

Król na to:

— Bądź dobrej myśli, służko mój wierny! Jeżeli się z tych ran wyleczysz, uwolnię ja cię od złego sąsiada.

Niezwłocznie wzięto Floryana na nosze i do obozu poniesiono, gdzie go lekarz królewski opatrzyć miał; Floryan zaś, uczuwszy się pod opieką, omdlał, zaledwie zdolawszy szepnąć:

— Poczciwego mojego siwego zabierzcie...

Floryan, pielęgnowany umiejętnie przez lekarza krakowskiego, wyzdrowiał, a król nie zapomniał o obietnicy. Od złego sąsiada go uwolnił, hojnie obdarował, ku uwiecznieniu jego waleczności, do herbu Kozłarogi trzy włócznie mu przydał i odtąd herb ten zwać poczęto: Jelita.

MAMUSIU, MAMUSIU!

Mamusi, prędko na ratunek! Wylałam wodę na wszystkie moje farby! rozpuszczą się! ach, prędziej, prędziej! — woła mała Zosia.

Mamusia wstaje z krzesła, na którym usiadła by odpocząć trochę po zajęciach domowych, — naprawia szkodę. Zosia zabiera się do dalszego malowania obrazków,

— Mamusi, mamusi! — słychać w parę minut później. — Ignas mnie bije! chce mi zabrać konia!

To znów sześciolatek Piotrś kłóci się z dwa lata starszym braciszkiem, Ignasiem.

Mamusia znów wstaje i godzi zwaśnionych.

Po krótkiej chwili znów słychać:

— Mamusi, mamusi, piłka Józia wpadła pod kanapę. Płosę mamusi dostać mi piłkę! — To głos najmłodszego syneczka mamusi, Józia.

— Idź Zosiu i wydostań piłkę Józiowi — mówi mama do Zosi.

— Zaraz, mamo, tylko tej pani namaluję bucik — odzywa się Zosia.

— Mamusi, ja chcę piłkę! — woła płaczliwym głosem Józio.

— Zosiu podnieś piłkę Józiowi — powtarza mama.

— Zaraz mamo — odpowiada Zosia.

Mija chwila czasu.

— Ma...ma.... mamusi... piłka...a...a — woła płacząc Józio,

Zosia maluje, Józio płacze, mama wstaje z krzesła i idzie szukać piłki. Schyla się i wydobywa ją z pod kanapy. Józiu przestaje płakać. Zosi znudziło się malowanie, zabiera się do szycia sukienki dla lalki.

— Mamusu, proszę, aby mama przykładała mi na sukieneczkę dla lalki — mówi Zosia.

— Zaraz, moje dziecko — odpowiedziała mama, nie przestając swego zajęcia.

Mija chwila czasu.

— Mamusi, kiedy mi mamusia skroi lalce sukienkę?

— Zaraz dziecko.

— Ja chcę teraz — napiera się trochę zadęsa — na Zosia.

— Zaraz — odpowiada mama spokojnie, nie zważając, że córeczka zaczyna się dęsać.

Mija chwila czasu, mama nie wstaje z krzesła i nie zabiera się do skrojenia sukienki. Zosia płacze.

— Dlaczego płaczesz? — zapytuje mama.

— Bo... mama nie chce mi skrajać sukienki — odpowiada Zosia.

— Ja ci nie powiedziałam, że nie chcę, tylko odpowiedziałam tak, ja kty mnie odpowiedziałas — zaraz. Czekać węc.

Zosia chwileczkę stała zamyślona, nagle z płaczem rzuciła się ku mamie.

— Niech mi mamusia przebaczy, ja już zawsze będę posłuszna, nigdy już nie powiem: zaraz, ale natychmiast zrobię to, co mi mama każe,

— Dobrze, Zosiu, pamiętaj jednak dotrzymać przyrzeczenia — odpowiedziała mama, całując płaczącą Zosię. — Przynieś materię i nożyczki dodała.

'NIEPOSŁUSZNY ZAJĄCZEK.

„Paś się synku tu koło mnie,

Tu tak piękna łączka!”

Tak mówiła zajęczyca

Do synka zajęczka.

Krąbrnemu zaś synalkowi

Słuchać się nie chciało,

Więc nie zważał na przestrogi

I w las poszedł śmiało.

Lecz nieposłuszeństwo zawsze

Karę z sobą niesie,...

Bo udusił lis zajęczka

Zbłąkanego w lesie.

K. Wachtel.

Nakreście sobie cel i idźcie do niego z wytrwałością, z uporem, ale bądźcie pewni, że go osiągniecie.

Z włoskiego
przetłumaczył
Ks. St. Siatka

Syn marnotrawny

DRAMAT W IV AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

ASSER: Ty o wszystkim wiesz i znasz cały ogrom mego nieszczęścia! Grałem, aby się odegrać, i uwolnić od wierzycieli, ale jakieś straszne fatum mię prześladuje i w coraz większą nędzę mię pogrąża! Co pocznę? Przez litość ratuj mię, ja już nikomu nie ufam, tylko tobie!

MAMUKA: Ja cię mam ratować? a z jakiej racji? Masz przecież ojca bogatego, wyszlej więc posłańca z oznajmieniem, że jesteś w ostatnie nędzy, a on cię z pewnością poratuje.

ASSER: Ach, okrutny człowiecze! jeszcze sobie drwisz ze mnie i wspominasz mi tego, od któregoś mię oderwał przez pochlebstwa, gwałt, obietnice i kłamstwa!

MAMUKA: Podły Żydzie, odwołaj coś powiedział...!

ASSER: A ty, czy dotrzymujesz przyrzeczeń!...

MAMUKA: Więc ty mi jeszcze będziesz ubliżał? czyż to nędza w którą wpadłeś, jeszcze nie złamała twego hardego karku?! Dobrze, otrzymasz zapłatę babilońską, ale ją popamiętasz.

ASSER: Przebacz jeżeli cię obraziłem... ratuj nieszczęśliwego...

MAMUKA: Za wiele już dla ciebie uczyniłem; wzięłem ze sobą wiernego sługę Jonę, on będzie wiedział jak zaradzić złemu...

ASSER: Przeklęty tyranie! jak długo będziesz się pastwił nademną! Odsyłasz mię do Jony tego podłego zdrajcy, który mię poprostu okradł i teraz żyje sobie na wolności — wyście obydwaj jednacy... nie męcz mię więcej, sprawco mego nieszczęścia!

MAMUKA: Jakim prawem śmiesz obwiniać mię oprócz twego nieszczęścia? Przyrzekłem ci uciechy w Babilonii i doznałeś ich i tak mi się za to wywdzięczasz?... Ty sam sobie winieniesz, żeś tak nisko upadł: rozpusta, gry, pijatki, rozmaite łajdactwa, którym dzień i noc się oddawałeś, musiały cię pozbawić majątku! Otoczyłeś się orszakiem hulaków, straciłeś z nimi wszystko, a teraz chcesz, abym cię ratował? Na mnie nie licz; zresztą w Babilonii nikt nie mówi o mnie, ale wszyscy mówią o jakimś głupim Żydzie, który tu przybył z Lidyi i daje się wyzyskiwać przez bieglejszych od siebie zawadyaków!

ASSER: Dlaczego więc tak mię namawiałeś i nagliłeś do wyjazdu do Babilonii, a następnie, kiedym przybył, nie dawałeś mi spokoju, tylkoś mię namawiał do gier i życia nad stan.

MAMUKA: Ja ci ustawicznie zalecałem uczciwość i umiarkowanie...

ASSER: Tyś mi mówił o umiarkowaniu? tylko szatan może coś podobnego twierdzić...

MAMUKA: Co chcesz przez to powiedzieć, paskudny Żydzie?! Zrywam z tobą, giń marnie!

ASSER: Nie porzucaj mię, proszę cię, bo inaczej zginę...

MAMUKA: A ty mi nie ubliżaj...

ASSER: Jestem zgubiony!

MAMUKA: (Chwytając go za ramię) Wyznaj żeś mię spotwarzył...

ASSER: Wyznam i przepraszam.

MAMUKA: Żem cię zawsze zachęcał do uczciwości...

ASSER: Tak, zawsze...

MAMUKA: Że jesteś niewdzięcznikiem względem mnie i nie inaczej tylko na klęczkach przeprosić mię musisz. (przymusza go do ukłęknięcia).

ASSER: (padając na kolana) Niestety! (ach co za spodlenie!...) Ale daj mi jeszcze pieniędzy, proszę cię, zaklinam cię... daj mi pieniądze!

MAMUKA: Klękaj!!

ASSER: Ratuj!

MAMUKA: A! upokorzyłeś się wreszcie, dumny dumny hebrejczyku, oto u nóg moich teraz! Przyszła na koniec chwila, że mię musisz prosić i to na klęczkach! Wstyd ci i hańba!... Patrz czem jesteś obecnie, oto jak mrówka, jak robak pełzający po ziemi, a ja... mogę cię zdeptać, zgnieść, według mego upodobania; kiedym był w Lidyi, tyś mną pogardził, ponieważ byłem uboższy od ciebie: tu w Babilonii miałeś mię jako jednego ze sług twoich i poprostu traktowałeś mię jako niewolnika! Teraz drżysz jak ostatni nędznik, a ja się cieszę i tryumfuję: twoje spodlenie, to moja chwała, unij teraz tę ośłą głowę aż do ziemi!...

ASSER: (poddaje się.)

MAMUKA: A teraz, kiedys mię uczył, będziesz czynił tak, jak ja ci każę i to stanowczo, zrozumiałeś? Pieniądzy dostaniesz, ile zechcesz. Wstań i chodź za mną, a przekonasz się,

ASSER: (wstaje zawstydzony i idzie za Mamuką.)

SCENA 4ta.

Podziemia straszne, na środku statua bożka Mo'ocha.

KURKAN I BLESSARYB.

KURKAN: Był tu Mamuka i oznajmił mi, że za chwilę przybędzie tu pewien młodzieniec Izraelczyk, syn bogatego kupca z Lidyi, aby się do nas wykupić.

BLESSARYB: Izraelczyk? Pamiętajmy, że trzeba być bardzo ostrożnym ze Żydem, bo nic łatwiejszego, jak być oszukanym.

KURKAN: Nie miej strachu, Mamuka nie da się oszukać tak łatwo, kogo on dostanie w swe ręce, ten już jego. Iluż on to dotąd Przyprowadził młodzieńców w szeregi czcicieli Moloch! Daleko więcej

niż my ich mamy w Chaldei. Jemu to właśnie mamy do zawdzięczenia, że tylu dzielnych młodzieńców wstępuje do tych podziemi, aby się połączyć z synami światłości.

BLESSARYB: Raczej powiedz z synami ciemności...

KURKAN: Przecież się rozumiemy: dla nas światłość to ciemności, a ciemności to światło; ale cicho!... widzisz tam w głębi Mamuka z poganiem...

SCENA 5ta.

MAMUKA I ASSER z zawiązanymi oczyma, zstępują po schodach do podziemia.

MAMUKA: (nakazując ręką milczenie) Moloch jest światłością.

KURKAN: Śmierć jego nieprzyjaciołom!

MAMUKA: Czy widać jego stopy?

KURKAN: Przystąpcie bliżej — (Kurkan i Blessaryb odchodzą).

MAMUKA: (prowadzi Assera za rękę gdyż ten ma zawiązane oczy) Odważnie, jeszcze dwa stopnie, a już będziemy...

ASSER: Dokąd mię prowadzisz po tylu gankach i schodach?

MAMUKA: Spokojnie, teraz zobaczysz wszystko i im dłużej oczy twoje pozostaną w ciemności, tem więcej się rozweselą, kiedy zobaczą światłość, (odsłania mu oczy.)

ASSER: (jakby zbudzony) Ratunku! miejcie litość! gdzie ja jestem? co za okropne i przerażające miejsce?

MAMUKA: Nie obawiaj się niczego; powiedziałem ci przecież, abyś był odważny, oto jesteśmy już u celu naszej podróży — dotychczas dobrześ się sprawował.

ASSER: Lecz ja nic, a nic z tego nie pojmuję... tutaj? co ja tu mam robić? czy mię chcecie zamordować, cóż ja złego uczyniłem?

MAMUKA: Wszystko ci wytłumaczę. Jesteś obecnie w kopalni złota; tutaj wystarczy jedno moje słowo, a będziesz miał tyle złota, ile zapagniesz.

ASSER: Doprawdy? a gdzie to złoto... ja nic nie widzę?

MAMUKA: Uważaj, ty jesteś jeszcze poganinem, lecz w krótkie wszystko zrozumiesz. Przybiecałem ci jeszcze w Lidy, że cię wprowadzę na dwór Salmanassara, gdzie można dostąpić wszelkich zaszczytów i żyć tak szczęśliwie i swobodnie jak nikt na świecie...

ASSER: I nie dotrzymałeś słowa...

MAMUKA: Ponieważ ty uparty żydzie zawsze mi się sprzeciwiał, ale obecnie kiedy nieszczęścia przytarły ci rogów i poddajesz mi się, postaram się o wypełnienie moich przyrzeczeń. Możesz więc obecnie dostać się na pokoje Salmanassara i przy

jednym stole siedzieć; jednakże wprzód musisz przejść to miejsce, które jest drogą prowadzącą do zaszczytów i bogactw. Stąd nie wyjdiesz jak tylko albo jako wielki dostojnik, albo jako trup.

ASSER: Co mówisz, ty mnie przerażasz...

MAMUKA: Odważnie, nędzniku, jesteś w świątyni Molocha, a czciciele Molocha są synami światłości: wszystko, co cię otacza, jest światłością, a im bliżej będziesz Molocha, tem więcej wnikniesz w tę światłość. Droga jest długa i pełna przeszkód, które musisz pokonać...

ASSER: A więc czego żadasz odemnie?

MAMUKA: Na teraz milczenia i posłuszeństwa! Czyś gotów słuchać?

ASSER: A kogo i w jakim celu?

MAMUKA: Zwróć się na wschód, skąd przychodzi światłość (obraca go) tak, a nie lękaj się, jeżeli nie chcesz uchodzić za prostaka. (słychać gwałtowny huk i brzęk łańcuchów.)

ASSER: Co to jest? co to ma znaczyć?!

MAMUKA: Nic, to Moloch właśnie przechodzi, uklęknij i oddaj mu cześć...

ASSER: Oddać mam cześć? a komu?

MAMUKA: Bałwanie jakiś! tu nie miejsce stawiania pytań i robienia trudności; albo oddasz cześć, albo zginiesz... (słychać jeszcze straszniejszy huk i błysk płomienia.) — Czy widziałeś? To światło, to promień Molocha, dobra dla ciebie wróżba, podobasz się Molochowi, jak widać.

ASSER: Wszystko to jest mi nie zrozumiałe... czego wy właściwie odemnie chcecie?

MAMUKA: Naprawdę twoje pytania i wątpliwości, ty nie jesteś już więcej panem swej woli. Patrz, oto zbliżają się dwa światła żelazne.

SCENA 6ta.

KURKAN, BLESSARYB, MAMUKA I ASSER.

(słychać śpiewy podziemne.)

Moloch, Moloch to potężny Pan,
Świat cały jest mu oddan,

...Zbliź się poganinie do wodza synów światłości.

KURKAN: Otóż poganinie, jesteś na stopniu pierwszego koła; nim zrobisz krok fatalny, pamiętaj, że każdy zdrajca śmiercią ginie: tam na dole przepaść niezmierzona, tam w głębinach wodnych mnóstwo krokodyli poświęconych bogom, które pożerają zdrajców; a więc zawołaj: niech żyje światłość!

ASSER: (z obawą) Niech żyje światłość.

KURKAN: Niech żyje wolność!

ASSER: Niech żyje wolność. (ja się pocę)

KURKAN: Niech żyje Moloch!

ASSER: Niech żyje Mmmmm... lecz kto jest ten Moloch?

(Ciąg dalszy nastąpi).

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyi: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyi: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET, CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA**AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE
issued at Chicago every Thursday.Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Święci Patronowie i Patronki.**ŚW. WOJCIECH B. I M.**

Dokończenie.

Zgodził się Borzywój, mając na to upoważnienie Bolesława i oto tak się stało, iż chciwość Prusów ukarana doznała, bo ciało rzeczzone nad wszelki wyraz małeńko zaważyło.

Wypisać nie można — kończy opowieść Ojciec Jaroszewicz — z jaką czcią i radością, tryumfem i pokorą, Bolesław, z kapłaństwem i ludem swoim, ciało Wojciecha naprzód do Trzemaszna, a następnie do Gniezna prowadził, gdzie Bóg je wielkimi cudami wstawił. O których to cudach dowiedziawszy się cesarz Otto III postanowił grób Wojciecha nawiedzić i mil siedm iść pieszo do niego. Chrobry z wielką czcią przyjął cesarza w Poznaniu i suknem owe mil siedm drogi, z Poznania do Gniezna, wysławszy, sam z nim szedł pieszo, aż do miejsca, gdzie cesarz z pokorą krzyżem leżąc przed grobem, nabożeństwo swoje odprawował. Późem na głowę Bolesława koronę królewską włożył, a od Bolesława otrzymał w upominku ramię i rękę Wojciecha. Relikwię tę umieścił w rzymskim kościele, wzniesionym ku czci tego męczennika, na wyspie rzeki Tybru. W kościele tym czasu późniejszego złożono relikwię Ś-go Bartłomieja, a odtąd świątynia rzeczona nosi nazwę Ś-go Bartłomieja na wyspie (S-ti Bartholomei in insula).

W poczet Świętych Pańskich zaliczonym został Wojciech. Grób jego cudami zasłynął, a nawet za wezwaniem jego przyczyny nietylko przy grobie onym Bóg łaski Swoje na wiernych rozlewał. Tak

naprzykład, w Julinie, mieście krainy pomorskiej, cesarz Otto kościół pod wezwaniem Ś-go Wojciecha ufundował, a przy drzwiach kościoła tego dzwon duży był zawieszony. Weszło w zwyczaj, iż ktośkolwiek z ludzi na modlitwę do kościoła wchodził, w ten dzwon naprzód uderzał. Zdarzyło się, iż niewiasta pewna ślepa, po różnych cudownych chodząc miejscach, przywrócenia wzroku szukała. Gdy zabiegi jej skutku nie przynosiły, córka poradziła jej: — Idź matko do kościoła w Julinie, dzwonem obudź Ś-go Wojciecha, aby cię poratował.

Usłuchała matka, i oto — gdy ją dzwonić, błagając św. Wojciecha o przyczynienie się za nią do Boga, tejże chwili wzrok odzyskała.

Kwiatek podziemny.

Kamienna, biedna, podmiejska wioska, położona na twardym gruncie kamienistym, popodkopywanym w setkach kierunków, czerpie cały swój dochód z kamieniołomów; podczas, gdy mężczyźni ryją pod ziemią, jak krety, oddalając się coraz bardziej od jasnego nieba, światła i zdrowego powietrza, — kobiety, a często starcy i dzieci, ciągną do miasta z kamieniem na niewielkich wózkach, mając nadzieję znaleźć kupców i przywieść do domu grosz jakiś.

Dlatego też wieś wydaje się zawsze, jakby wymarłą. Podczas dnia w ciasnych zakątkach nie można spotkać żywej duszy, — z wyjątkiem dwojga lub trojgo dzieci, bawiących się w piasku, chudej krowy, wlokącej się ponuro i leniwie ziewającego psa.

I teraz w południe zastajemy wieś, jak zwykle, wymarłą. Słońce piecze niemiłosiernie. — czasami tylko powiewa lekki wietrzyk. W powietrzu nie słysząc żednego dźwięku; gdyby chociaż pies zaszczeakał, albo ptaszek zaświegotał!

Jedynymi żyjącymi istotami we wsi są: pisarz, wójt, ksiądz, nauczycielka ludowa i — staruszka ze swą wnuczką, mieszkające na samym końcu wsi.

Staruszka, zgięta w kablak, kręci się koło komina, a wnuczka, jedenastoletnia Olesia, albo „kwiatek“, jak ją nazywają wszyscy robotnicy kamieniołomów, — ładna dziewczynka z niebieskimi, jak bławatki, oczami, wesolutka śmieszka, bawi się z pieskiem, Żuczkiem, na podłodze. Zapłta mu długą sierść w warkoczyki, tarmosi Żuczka i przewraca się z nim po podłodze napełniając ubogą lepiankę krzykiem, śmiechem i piskiem.

— Babciu! — zawołał nagle wnuczka, przestając dokazywać.

— Co, Olesiu?

— Czy prędko będzie obiad?

— Niedługo, poczekaj jeszcze trochę.

— Tatusz pewnie głodny.

— Wiem, wiem! — rzekła staruszka i zajęła się znów gorliwie garnieczkiem, jedynym na kominie, a dziewczynka rozpoczęła na nowo zabawę z pieskiem.

Wkrótce w garnieczku zakipiało. Staruszka odlała część zupy w mniejszy garnuszek, okryła go starannie i zawiązała wraz z kawałkiem chleba w chustkę.

— No, Olesiu, obiad gotów. Możesz już iść!

Dziewczynka podskoczyła zrzuciła z siebie Żuczka, który się przewrócił zabawnie, poprawiła włosy, spadające jej w jasnych lokach na oczy, szyję, ramiona i klasnąwszy w ręce, zaśpiewała wesoło.

— Obi — ad got — ów! Żuczek, przestań dokazywać!

Staruszka podała jej węzełek z garnieczkiem, w drugą rękę wsunęła palącą się niewielką lampkę nafatową i podprowadziła dziewczynkę do drzwi, przestrzegając:

„Złote dno“ ma tysiące drobnych i dużych korytarzy (po dwie, trzy, do pięciu mil każdy), poczęści zawalonych, poczęści porzuconych, a zaczyna się w szerokiej kotlinie, leżącej poza wsią.

Do tej właśnie kotliny biegła dziewczynka. Gdy się w niej znalazła, zeszła po wyciosanych w ziemi schodkach, stając przed okrągłym otworem.

Otwór ten prowadził do kamieniołomu „Złote dno“.

Dziewczynka zatrzymała się, poprawiła lampkę i obluźniony węzełek, zawołał poważnym głosem na Żuczka, przeżegnała się i zniknęła w czarnym otworze.

Bose nogi dziewczynki odrazu zagłębiły się w żółty piasek, powiała na nią wilgoć grobowa. Z obydwuch stron, jakby chcąc ją zmiażdżyć, gromadziły się niskie, zapocone i poczerwiałe od kopca ściany, a nad głową wisiał sufit potrzaskany, wspie-



BITWA POD PŁOWCAMI W ROKU 1331. — FLORYAN SZARY.

(Podług obrazu Juliusza Kossaka).

— Tylko uważaj, Olesiu, abyś nie rozbiła lampki; a do kamieniołomów nie chodź sama, bo zabłądzisz. Czekaj, aż kto będzie szedł i idź z nim razem. Rozumiesz?

— Rozumiem, babciu! — kiwnęła głową dziewczynka i zawoławszy Żuczka, pobiegła przez wieś.

Żuczek rzucił się do Olesi, skacząc na nią, liżąc jej gołe, opalone nogi i targając zębami brzeg perkalowej sukienki.

II.

Właściwie w Kamiennej jest kilka kamieniołomów, lecz robotnicy pracują tylko w jednym, — w Złotym dnie, gdzie kamień jest częstszy, dźwięczniejszy, bez żyłek zdradzieckich, kołorem przypominający dopiero co przemyte złoto.

rany co kilka kroków podpórkami. Podpórki wydawały się dziwnie słabe, jakby lada chwila miały pęknąć, nie mogąc utrzymać sufitu, ciężącego na nich.

Lecz dziewczynka oddawna już przywykła do tego sufitu i do tych podpórek, nie bała się ich wcale, i niosąc wysoko przed sobą lampkę migającą się i zaczynającą kopcić, posuwała się odważnie, bez strachu.

Z każdym krokiem jednakże było jej bardziej nieswojo. Uśmiech zniknął z jej ust, oczy przestały się uśmiechać. I nic w tym nie było dziwnego: powietrze stawało się coraz duszniejsze, sufit — niższy, korytarz — węższy, piasek pod nogami wilgotniejszy, a kopec z lampki — gęściejszy. Szkiełko lampki zupełnie już się pokryło kopcem i za

miast płomienia, tliła się w nim tylko iskierka, od której ciągnęły się ku górze ciemne nitki, sypiąc czarny śnieg na głowę dziewczynki.

Olesia zaczęła z natężeniem wpatrywać się i wsłuchiwać, lecz oczy jej nie odróżniały nic, oprócz ciemności, ucho nie podchwytowało nic, oprócz własnego oddechu, bicia serca, szmeru piasku pod nogami i sapania Żuczka.

Pies sposepniał także, opuścił głowę i stracił całą swą wesołość.

Nagle dziewczynka zadrżała, zdrętwiała: o dwa kroki poza nią załamała się podpórka i z sufitu odłamała się bryła.

Żuczek zaszczekał z przerażenia.

Oderwana bryła zawałiła do połowy wejście. Ważyła z dziesięć pudów. Gdyby się była oderwała o sekundę wcześniej, pogrzebałaby pod sobą dziewczynkę i Żuczka!

Olesia pokiwała głową i przeżegnała się.

W tej chwili w oddali błysnął płomień i dały się słyszeć czyjeś kroki: to wózek, napełniony kamieniem, ciągnął do wyjścia.

— Kto tu? — rozległ się z wózka piskliwy głos.

— Ja. To ty, Janku? — zawołała z radością dziewczynka.

— Co za ja? Djabeł z rogami, czy czarownica?

— Kwiatek!

— Jaki kwiatek?

— Czego ty, Janku, mnie straszysz? Czekaj, powiem tatusiowi...

— O, bardzo się boję twego tatusia! Pr... — rozległ się głos już bardzo blisko i o trzy kroki od Olesi zarył się w piasek koń napótł oślepy.

Z wózka zeszedł chłopiec lat szesnastu, w perkalowej koszuli i krótkich spodniach.

— Niesiesz obiad? — zapytał z powagą, dotykając batem węzełka.

— Tak. A w którym korytarzu pracuje dzisiaj tatuś? — Pokaż mi!

— Idź prosto, a potem — na lewo. Tylko nie zaczep się nosem — zadowcipkował chłopiec i zawołał — Żuczek!

Schwyciwszy psa, zaczął go niemiłosiernie ciągnąć za ogon i uszy. Pies zaskowyczał przeraźliwie.

— Puść Żuczka! Co ty sobie myślisz? — Zobaczysz, napewno powiem tatusiowi! — wołała rozgniewana Olesia.

— Ho, ho, boję się bardzo! No, z drogi! — zakrzyczał chłopiec, puścił Żuczka, schwycił lejce, i wózek potoczył się ku wyjściu.

III.

Olesia poszła dalej. Wkrótce zamigotały płomienie i dał się słyszeć zgrzyt pił, uderzenia młotów i głosy ludzkie. Dziewczynka zupełnie już rozweseliła się i pobiegła, jak wicher naprzód.

— A to „Kwiatek”, Olesia! — powitały ją radosne głosy.

Sześciu robotników z brodami, z czarnymi od kopcia rękami i twarzami, zaprzestało roboty i patrzyło z uśmiechem na dziewczynkę, którą trzymał w objęciach siódmy młody robotnik.

— Olesiu, „Kwiateczku“! — powtarzał uszczęśliwiony ojciec, całując rumianą buzię dziewczynki.

Ciemne sklepienie, wilgotne i ciasne, rozweseliło się nagle, jak gdyby wpłynęło tu potokiem świeże powietrze, jak gdyby ściany się rozszerzyły, przygniatający sufit uniósł się w górę, a nad robotnikami zaświeciło jasne niebo wiosenne.

Tak było zawsze! Pracują po kilka dni i nocy, nie wychodząc z kamieniołomów i nie widząc słońca, ani nieba, połykają żółty wapnisty pył i kopeć z lamp, doprowadzający ich do zawrotów głowy, oddychają wilgocią, pleśnią, — gdy nagle zjawia się „Kwiatek”.

Świeża, rozpromieniona zawsze Olesia, rozweselała ich wszystkich i na zakopconych twarzach pojawił się uśmiech. Droga dziewczuszka!

I teraz oto, wyrwawszy się z objęć ojca, Olesia wyjęła z kieszeni ołowianego kogutka, zapiała i zakręciła się z Żuczkiem, jak fryga.

— Kochana dziecina! — szepnął, patrząc na nią stary, siwy robotnik, dławiący się co chwila kaszlem. — jaskółeczka, ptaszynka! Niech cię Bóg błogosławi!

— „Kwiatku”, jak dziś na dworze? — zapytali robotnicy.

Biedacy! Przez sześć dni nie wychodzili ze swej mogiły i sześć dni nie widzieli światła i słońca!

— Ślicznie, ślicznie! — opowiadała Olesia, kręcąc główką. — Na dworze — słońeczko. Pszczółki latają. A tu, brr..., jak brzydko!

I dziewczynka obrzuciła wzrokiem sklepienie, ziejące śmiercią.

— To prawda! Nie ładnie tutaj — szepnął z westchnieniem głębokim ten sam siwy staruszek i zaczął kaszlać.

— Mama wróciła z miasta? — spytał ojciec.

— Nie! Wójt kazał ci powiedzieć, żebyś przyszedł do niego. Ale dlaczego, tatku, nie jesz? Zupa dobra! — rzekła Olesia, i ze śmiechem i piskiem rzuciła się w pogoń za Żuczkiem.

Robotnicy usiedli do obiadu. Jedli w milczeniu, jakby bez chęci. Kilka lamp, dymiących i wyrzucających z siebie mnóstwo sadzy, rzucało blade plamy na ich żółtoczarne twarze i rozpiłowane kawałki kamieni.

— Żeby tylko sufit się nie opuścił, — rzekł jeden z robotników, podnosząc do góry głowę; — możeby spróbować. Szczepan, daj-no łom.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Była sobie dziewczynka.

Była sobie dziewczynka,
Której kwaśna minka,
Wszystkich odstręczała,
Nawet przerażała.
Od samego rana,
Zawsze nadąsana,
Przy pacierzu ziewa,
Na wszystkich się gniewa.
Przy ubraniu nudzi,
I długo marudzi:
Za ciasne buciki,
Za duże guziki,
Wstążeczka zgnieciona,
Sukienka splamiona,
A gdy czeszą włosy,
Krzyczy w niebogłosey,
Grzebień rzuca, łamie
Wciąż dokucza mamie.
Tylko nosek myje,
Śniadania nie pije,
Bo mleko zdymione,
Masło przesolone,
Chleb niedopieczony,
Ser niedosolony.
Gdy lekcyja zaczęta,
I wszystkie dziewczęta,
Nauki słuchają,
Zadania wydają,
Wtedy wchodzi ona,
Kwaśna, nachmurzona,
Lekcyi swej nieumie,
I nic nie rozumie.
Więc te ciągle złości,
Już wrosły w jej kości,
Postać — twarz, zmieniły,
Środce oszpeciły.

Siostra Helena C. R.

KRZAK RÓŻY.

Pewien wieśniak, mieszkający na samotnem wybudowaniu daleko za wsią, przyniósł z miasta już w marcu krzak róży i zasadził go w swym ogródku.

— Cóż robisz, kochany ojczu, — zawołała mała Jadwisia, która nigdy jeszcze nie widziała krzaka różanego, — jak mogłeś owo suche, kolczaste krzaczysko wsadzić nawet w sam środek pięknego klombu! Owo ciernie wcale niestroi, owszem oszpeca cały ogródek!

— Cierpliwości, — odrzekł jej ojciec, — cierpliwości, moje dziecko, a doczekasz się, że ów ciernisty krzak okryje się takimi pięknymi kwiatami, jakich jeszcze w życiu nie widziałas!

Jadwinia mimo tego niekoniecznie wierzyła i potrzasała głową.

Ale nabawem ciernisty kwiat zaczął wypuszczać i wnet okrył się cudnie zielonymi listkami, Nierdługo ukazały się delikatne pąkówki, które stawały się coraz większemi. A gdy potem już okwitły narcyzy i tulipany, wtedy pąkówki się pootwierały i cały krzak okrył się mnóstwem róż, nad których przepysznym pupurowym kolorem i cudnym zapachem Jadwinia się zdumiała.

— Ach! — wykrzyknęła po kilkakroć razy, — jak piękne kwiaty!... one są piękniejsze od wszystkich innych. Ten krzak róży jest najpiękniejszą ozdobą naszego ogródka!

— Widzisz teraz, moje dziecie, — rzekł na to ojciec, — jak to z owego ciernia róże wyrastają? Wprawdzie musiałas na to czekać całą prawie wiosnę i nie długo byłoby ci zabrakło cierpliwości. Ale sama teraz uznasz, że przy cierpliwości wszystkiego doczekać się można. Jak w cierpliwości doczekać się można róż na krzaku ciernistym, tak przy cierpliwości doczekać się można radosnej zmiany wszelkich w życiu naszym przeciwności.

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECJANA.
Przez Teresę Jadwigę.

(Dokończenie).

Kornelia skinęła na swoich niewolników, którzy opodal stali, wyczekując rozkazów swej pani.

Złóżcie obu do mojej lektyki i do pałacu odnieście szybko! — rozkazała.

Niewolnicy w mgnieniu oka spełnili rozkaz i ostrożnie złożyli ciała w lektyce.

Wsparta na rękę swych przyjaciółek Sylwia zbliżyła się do lektyki. W sercu jej żyła jakaś błoga nadzieja, że choć jedno jeszcze słówko pożegnania usłyszy z ust ukochanego syna. Nie zawiodła się. Gdy bowiem nachyliła się nad ciałem dziecka, Marcelin otworzył oczy, niebiański uśmiech pojawił się na bladych jego ustach, z których wyrwał się za ledwie dosłyszany szepot:

— Moja matko!...

— Synu, dziecko moje! żyjesz jeszcze... Dzięki ci Boże — zawołała wzruszona Sylwia, upadając na kolana przy lektyce i całując blade, lecz ciepłe jeszcze czoło.

W tej samej chwili i ciało Stabora poruszyło się: otworzył oczy, wzrok jego padł na klęczącą Sylwię, błysk radości wewnętrznej odbił się w oczach, uśmiech pojawił się na twarzy. Stabor chciał coś przemówić, lecz nie mógł, poruszył tylko ustami i znów zamknął oczy.

— Oni żyją! — zawołała Marya — zapominając się.

— Na miłość Boską, nie mów tego głośno! przestrzegła ją Julia.

— Natychmiast wynieście ciała i spieszcie do pałacu z nimi — rzuciła krótki rozkaz niewolnikom patrycyuszka. Ty biegnij naprzód i uprzedź mego lekarza, aby był w pogotowiu i rannych opatrzył — dodała, zwracając się do dozorca swoich niewolników.

Niewolnicy podnieśli lektykę i szybko oddalili się z amfiteatru, z wolna za nimi zdążyły Sylwia, Kornelia i Marya, Julia pozostała jeszcze w amfiteatrze w nadziei, że może się okazać pomocną dla swoich współwynawców.

Tymczasem przedstawienie się odbywało w dalszym ciągu, Rozbawiony lud z coraz większym zapalem bił oklaski.

Po wyniesieniu Marcelina i Stabora, łowcy wprowadzili na arenę aż dziesięciu chrześcijan, przybranych w jelenie skóry. Wypuścili na nich sworę dzikich zgłodniałych psów, które wnet rozszarpały nieszczęśliwych. Lud bił oklaski, w łóżach kobiety zasłaniały oczy, mężczyźni zaś szepotali, że Dyoklecjan umie urządzić igrzyska. Byli jednak i tacy, którzy ze wstrętem i odrazą odwracali oczy od tych nieludzkich i okrutnych widowisk.

Gdy łowcy oczyścili arenę z poszarpanych ciał, drgających jeszcze, wówczas wystąpili gladyatorowie uzbrojeni w trójzęby. Byli to niewolnicy, odznaczający się wielką siłą mięśni i wyniosłymi postaciami. Lud powitał ich oklaskami, a Dyoklecjan i trzech jego rządcy skinieniem głowy.

— Ave cesar imperator! — wykrzyknęli gladyatorowie i ustawili się jednym rzędem naprzeciw łóż cesarskiej.

Plivius zwrócił się do Alcybiadesa.

— Na przyszłe przedstawienie postaram się, abyś zajął miejsce w szeregu tych olbrzymów — rzekł.

— Wyzwoleńcem jestem — odparł Greczyn, niespokojne spojrzenie rzucając na arenę.

Plivius wykrzywił pogardliwie usta.

— Często wątpię o tem! — rzekł.

Gladyatorowie mieli stoczyć walki ze sobą, więc widze zaczęli się zakładać ze sobą, który z walczących zwycięży w niebezpiecznych zapasach.

I wystąpili po 2ch do pojedynku i znowu krew świeża zarumieniła piasek areny. Teraz nietylko z galeryi, lecz i z łóż rozległy się oklaski. To czczone zwycięstwo tych, na których postawiono po kilka sztuk złota i wygrano,

Nazajutrz w katakumbach zebrała się spora gromadka chrześcijan na pogrzeb braci męczenników.

Długi orszak niewiast czarno ubranych, że świecami jarzącymi w dłoniach, wysunął się z ciemnych

korytarzy podziemi i podążył do kaplicy, w której na ziemi leżały ciała owinięte w białe prześcieradła.

Niewiasty ze światłem otoczyły szczątki świętych męczenników, a za nimi uklękli mężczyźni. Po chwili rozległ się żałobny hymn, i do kaplicy weszli dyakoni, kapłani biskup Dyonizy, przybrani w szaty liturgiczne.

Biskup wstąpił na stopnie ołtarza i zwrócił się do zebranych w kaplicy.

— Pogodne twarze śpiących naszych braci świadczą, że śmierć była dla nich tylko przejściem do życia lepszego — rzekł po chwili głosem drżącym od wzruszenia. — Tak, bracia najmiłsi, kto życie oddaje dla Chrystusa, ten nie umiera, ale żyje, bo Sam On to powiedział: „Ktoby stracił duszę swoją dla mnie, znajdzie ją“... znajdzie w świecie lepszym, gdzie już nie masz ani Neronów, ani Dyoklecjanów... To też i ci, na których teraz patrzemy nie umarli, ale narodzili się do żywota wiecznego i żyć będą zawsze i w niebie w chwale z Barankiem i na ziemi w sercach milionów.. Prośmy ich o wstawiennictwo dla nas u Ojca Niebieskiego, abyśmy i my wzorem ich zagrzani i podniesieni na duchu nie upadli we wierze, ale stałością w niej zasłużyli sobie na tę światłość wiekuistą, która im już przyswieca...

W ten sposób przemawiał biskup Dyonizy, a potem w uroczystej procesyi zaprowadził ciała św. Męczenników na spoczynek po walkach i trudach życiowych do otworów, widniejących w ścianach korytarzy...

W oddalonym pokoju pałacu patrycyuszki Kornelii stały dwa łóża z białymi ciałami, podobnymi raczej do posągów marmurowych niż do ludzi. Byli to Marcelin i Stabor. Lekarz patrycyuszki troskliwie się zajął młodzieńcami. W pierwszych dniach sam nie był pewny, czy uda mu się utrzymać ich przy życiu nie tyle z powodu ran zadanych przez dzikie zwierzęta, ile z powodu wielkiego wpływu krwi temi ranami. Życie wisiało na włosku. Od czasu przyniesienia ich z amfiteatru, przez kilka dni żaden z nich słówka nie przemówił, ani oczu nie otworzył, po ledwie dostrzegalnym oddechu przekonywano się, że jeszcze żyją.

Sylwia i Marya nie opuszczały pokoju, lecz dzień i noc tam przebywały, Sylwia z wielką wiarą modliła się, prosząc Boga o życie dla dzieci swoich bo i Stabora teraz uważała za syna.

Pod wieczór jednego dnia w pokoju chorych zjawił się biskup Dyonizy w towarzystwie Julii. Stanął nad chorymi wzniosł oczy do nieba i chwilę w skupieniu się modlił. Skończywszy modlitwę, przeżegnał leżących młodzieńców, z zwracając się do Sylwii, rzekł:

— Ufaj, córko, u Boga wszystko jest możliwe.

Pocieszywszy temi słowy strapione niewiasty, opuścił pałac.

W kilka godzin po tem Stabor i Marcellin po raz pierwszy otworzyli oczy i wzrokiem przytomnym spojrzeli po otoczeniu. Uśmiech zawitał na ich wybladłe twarze, gdy poznali Sylwię, Maryę i Kornelię, siedzące przy ich łóżach. Usta im się poruszyły, ale mówić nie mogli jeszcze. Przywołany lekarz ucieszył się z tego i zaręczył, że młodzieńcy żyć będą. Sylwia padła na kolana i w gorącej modlitwie dziękowała Bogu za życie ukochanych osób.

Minęło jednak dużo czasu, nim młodzieńcy przyszedli do zdrowia. W tym też czasie opiekunka ich Kornelia, porzuciła pogańskie zabobony i przyjęła sakrament Chrztu św.

Po wyzdrowieniu młodzieńców Sylwia wraz z niemi opuściła gościnne mieszkanie patrycyuszki i we troje udali się do Egiptu do Virinusa.

ZAGADKI.

Z DWÓCH liter się składa
Jako rzeka Płynię,
W Adryatyk wpada,
Kto chęci ma szczerze
Imię stworzyć wieszczu
Niech TRZECIĄ literę
Na końcu umieszcza
Staw jeszcze znak CZWARTY,
Gdy nie brak ochoty,
A port masz otwarty
Austriackiej floty.
Gdyś tyle ułożył,
Dodaj piątą w szyku,
A nazwę ułożysz,
Ktoś jest czytelniku.

Kwadrat magiczny.

a	a	d	poeta polski
l	l	o	rodzaj poezji
o	p	s	zbiór drzew.

Łamigłówka sylabowa.

Z następujących sylab ułożyć 8 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą nazwę znanego miasta, będącego ostatnią stolicą Polski.

Sylaby: an, wio, u, an, ró, so, za, mek, dy, i, to, na, wa, lja, wi, na, sna, gro, za, no, a, ni, stra.

Znaczenie wyrazów.

1. Pora roku.
2. Imię żeńskie
3. Królowa kwiatów.
4. Ptak nocny
5. Część mowy.
6. Góry w Południowej Ameryce.
7. Owoce.
8. Część świata.

Rozwiązanie zadań z numeru 31.

Szarada: KOŁOWROTEK.

Kwadrat magiczny.

K	u	l	a
U	ł	a	n
L	a	m	a
A	n	m	a

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patriotycznych i ratującej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str.

Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; Julian Szczepański, Prezes; Agnieszka Nering, I Wiceprezeska; Maksymilian Brochocki, II Wiceprezes; Wincenty J. Jóźwiakowski, Sekretarz Główny; Władysław Sztanka, Skarbnik; Paweł P. Kucharski, Dyrektor; Julian J. Nejman, Dyrektor; Feliks Augustynowicz, Dyrektor; Franciszek Siatkowski, I Marszałek; Jan Szpekowski, II Marszałek.

Ks. Feliks Ładoń, Redaktor; Dr. Bolesław Klarkowski, Lekarz Główny; Ludwik Jankowski, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; Teofil Gordon, Asystent Sekretarza Głównego; Ignacy Ciesielski, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. Piotrowski, Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biurze Generalnem: W każdy poniedziałek i w każdy piątek od godziny 7-ej do 9-ej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-ej do 10-ej. W niedziele, od godziny 3-ej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko-katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucję i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucja 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z dołączeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięczne.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA
141-143 W. Division St. CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.

Niniejszem zawiadamiam Szanownych urzędników i członków Macierzy Polskiej, że miesiąc *Sierpień*, b. r. jest wolny od nadzwyczajnych podatków na pośmiertne, a zatem opłaty do kasy głównej w miesiącu sierpniu, 1907 r., wynosić będą 20 centów.

Win. J. Józwiakowski,
20-VII-07. Sekr. Główn. M. P.

OD SEKRETARZA GŁÓW- NEGO.

Do Szanownych Urzędników i Członków Macierzy Polskiej:

Okoliczności nie odemnie zależące zniewoliły mnie do przenie sienia moich godzin biurowych z poniedziałku na wtorek, a zatem:

Od dnia 1-go Sierpnia br. zachowuję i regularnie zachowywać będę moje godziny biurowe p. nr. 141-143 W. Division ul., w każdy wtorek i w każdy piątek wieczorem.

W inne dni i wieczory jestem na usługi Macierzy Polskiej za specjalnem z góry umówieniem się z interesantami.

Brat w Macierzy Polskiej
Wincenty Józwiakowski
Sekretarz Główny.

N. B. Skarbnik Sztanka zachowuje nadal poniedziałki i piątki.

O STYLU.

(Ciąg dalszy)

Właściwie napróżd pisać będziemy, gdy nigdy nie spuścimy pamięci o czem, dla kogo i w jakim celu piszemy. Nie odobna tu ścisłych przepisów oznaczyć: najpierwszym przewodnikiem w tej mierze powinien być smak wytrawiony, znajomość świata i serca ludzkiego.

Któż nie wie, że innym stylem opowiadać należy walkę Pompeja z Cezarem, a innym jakiegokolwiek zdarzenie potoczne. Innym stylem opiszę te czyny dla uczonych dla polityków, a innym dla liczniejszej klasy czytelników.

Różny na koniec cel piszących różną stylowi wskazuje właściwość i miarę. W piśmie mojem mam główny zamiar mówić albo do samego rozumu, albo też więcej do imaginacji czytelnika; w pierwszym razie zachowam wszelką karność stylu, jakiej ten surowy sędzia, rozum nasz, koniecznie wymaga; w drugim zaś celu wolno mi, nie obrażając głównych praw rozumu, przyjmować wszelkie ozdoby właściwe, które nie mogą być wyszukane, ale raczej powinny z rzeczy samej wykwitać.

Nadto chcąc zachować właściwość stylu, należy wyrazów używać we właściwym ich znaczeniu. Nie mogę np. używać wyrazu prostota, zamiast pospolitość, a szczerzej gólniej baczyć na używanie zaimek i przyimek. W tym celu nie należy łączyć z sobą obcych pojęć, a przeciwnie pamiętać na godność przedmiotu i nie używać płaskiego, albo pospolitego wyrazu, gdzie jest rzecz poważna.

Precyzja jest ważną zaletą stylu, składa się na nią dokładność i zwięzłość. Precyzja jest dwójką, co do wyrazu i co do myśli. Precyzja wyrazów zależy na tem, aby wyrazów nie przedłużać tam, gdzie ani szlachetność, ani harmonia stylu tego nie wymaga. Dzieje się to, gdy wyrazy niepo-

trzebnie przyimkiem obciążamy, np. porozprzedawane zamiast rozprzedane, albo dodajemy niepotrzebnie wyraz, którego się albo łatwo domysleć można, albo, który przez to, co go poprzedza, już jest dostatecznie oznaczony; wreszcie, gdy pojęcie dające się w jednym słowie zawrzeć, w wielu wyrazach określamy.

Nieraz rozwlekłość nie jest w wyrazach, lecz w myślach, a to czytelnika oziębła i nudzi. Można być bardzo oszczędnym w wyrazach, a rozwlekłym w myślach. Będzie rozwlekłym, kto pisze bez uczucia i bez jasnego pojęcia rzeczy, kto nie trzymając się porządku logicznego, mięsza wyobrażenia tak, że czytelnik związku pomiędzy nimi uchwycić nie może, taki błąd częściej się znajduje w rozumowaniach, aniżeli w opisach. Rozwlekłe myśli nasze wyrażamy, kiedy rzeczy uboczne, a tem bardziej obce do głównego przedmiotu zamieszamy, przezco uwaga czytelnika od myśli głównej, do pobocznych zwracać się musi. Myśli wielkie i tkliwe powszechnie są krótkie, w krótkich i prostych oddają się wyrazach, kiedy Cezar, widząc Brutusa, który uderza go sztyłem, mówi do niego: „I ty mój synu!” wyrażnie to najprostsze, a precyzya myśli prawdziwa.

Za precyzyą nie można się ubiegać kosztem innych zalet stylu, a mianowicie jasności i żywości, ponieważ jedna zaleta nie czyni stylu dobrym, lecz w połączeniu wszystkich jego własności. Nie potrzeba nigdy zapominać do kogo i w jakim celu piszemy, tj. czy chcemy nauczać, opowiadać, nakłaniać, bawić, wszystko to bowiem wymaga pewnej w swoim rodzaju precyzji. Gdy każda myśl wielorako wystawioną być może, obrać należy styl, który zamiarowi najwięcej odpowiada. Trzeba myśl wystawić w świetle najkorzystniejszym, odciąć wszystko, co do naszego zamiaru nie należy, ale tylko myśl zaciemnia

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8miu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościcieli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przysyłać przez
Money Order lub w jednocentowych
znaczkach pocztowych.

Drukarnia Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarski wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

**Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,**
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

i bez potrzeby obciąża, trzeba ją
wyrzucić tak zwięźle i jasno, jak
tylko można.

Naturalność jest najpiękniej-
szym, ale zarazem najtrudniej-
szym stylu przymiotem. Jak pre-
cyzyja stylu powinna mieć zaw-
sze na względzie jasność, tak go-
dność czyli powaga nieoddzielną
być powinna od naturalności. Na-
turalność stylu nazwać można po-
łączeniem dotąd wymienionych
przymiotów sztuki pisania.

Naturalnie pisze, kto bez przy-
musu prosto i przyjemnie myśli
swe wyraża, ztąd łatwość i prostota
stylu polega na naturalności. Czytając
styl naturalny mniema każdy, mówi
Kwintylian, iż sam potrafi tak mówić
i pisać, przecież doświadczenie uczy,
iż nad tę łatwość nie ma nic trudniejszego,
Naturalność stylu, mówi Potocki,
polega na pewnym rodzaju prostoty,
która się właśnie podobna, że się
podobać nie stara. Jest piękna bez
sztuki, łatwa bez zaniedbania podobna
do szaty starożytnej, bez przymusu
a gustownie zarzuconej; która okrywa
nagość ciała, lecz nie przekształca
jego dostojnych postaci. Istotnie
styl naturalny ma w sobie coś tak
ujmującego, jak sposób obejścia się
w pożyciu osoby dobrze wychowanej,
w której wszystko pełne gracy i sztuki
do tego stopnia posuniętej, iż się
przyrodzonem być zdaje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przechodzi orszak pogrzebowy. Da-
ma pakaś zbliża się do orszaku, za-
trzymuje pierwszego lepszego z ucze-
stników żałobnej uroczystości i zapy-
tuje ni stąd ni z owąd:

— Przepraszam pana, kogo to grze-
bią?

Zainterpelowany jegomość, zmieszany
tą niedyskrecją, waha się przez
chwilę, a potem z miną bardzo zrezy-
gnowaną, odpowiada.

— Zdaje mi się, że tego pana z czar-
ną brodą, który jedzie w pierwszym
powozie żałobnym!....

Nie dość jest czytać, trzeba także
myśleć, o tem, co się przeczytało.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącym powietrzem, Wibracją, Elek-
tryką, Masowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią,
Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności
swój wielki SKŁAD OBUWIA
pod firmą

'The Grand Shoe Co.'

885 Milwaukee ave.,
pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trze-
wki modne i trwałe dla mężczyzn,
dam, młodzieży i dzieci po cenach
umiarkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrzciny, itp.
818 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w noc. —

Fotografie!

Wykonujemy w naj-
nowszym stylu i naj-
modulejszych po-
zy-
ciach. Ślubne fotogra-
fie wykonujemy z wielką
dokładnością; nawet
w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy foto-
grafie pod gwarancją. Jedyna galeria, która po-
siada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup,
towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkość 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGLASZAJCIE SIĘ

w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

— dla —

Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn.)

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub człon-
kiń.



Śliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na kłapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-cia:

50 centów

Za każdego nowego członka lub
nową członkinię Macierzy
Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepsze szczerzo - złote ślubne obrączki idźcie do jedyne go polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,

677 Milwaukee ave.



SUMMER CLEAN-UP

NOW let everybody get a bargain;
will save you from \$3.00 to \$8.00
on Men's spring and summer Suits

Sale Prices \$4⁸⁸ \$6⁸⁸ \$9⁸⁸ \$12⁸⁸

THE **ARMITAGE**
Milwaukee and Armitage Ave's

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE

kupić lub -przedać property, grunt lub far-
mę, albo pożyczyć pieniędzy na budo-
wę lub zakupno, to zgłście się do
naszemy wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członek
Fire Underwriters Association.

Asekurujemy od ognia w najlepszych kom-
paniach. Wyrabiamy wszelkie
papiery legalne.

Artystyczne Głównianie i Dekorowanie
Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarski
wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

INTROLIGATORSKI,

812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to
jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to:
książki biblioteczne, do nabożeństwa, na-
ty, książki szkolne i t.d. po cenach u-
miarkowanych. Każda robota wykonana
w naszej pracowni będzie gustowna i
trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,

812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.

Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph

Półkój 807, 8cie piętro. Tel. Central 608.

Wieczorem 805 Noble ul. Tel. Monroe 2437

Mieszk. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1984

Ogłaszajcie się w

Macierzy Polskiej.